

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży

Adres Redakcji Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 71, tel. 240-15.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie: rocz. rb. 4, półrocz. rb. 2, kw. rb. 1, mies. 35 k z dodat. rocz. 6.40, półrocz. 3.20, kw. 1.60 mies. 60k. Za odnie d' płaca się 10 kop. kwartalnie. Z przesyłką pocztową w granicach państwa: rocz. rb. 5, półrocz. rb. 2 k. 50, kwart. rb. 1 kop. 25. mies. 45 k.

Z dodat. rocz. 7.40, półrocz. 3.70, kwart. 1.80. Za granicą: w Austrii 14 kor., z dodat. 21 kor. rocz. W Niemczech 12 m. z dodat. 19 m. rocz.

WARUNKI OGŁOSZEŃ:

2 i 3 strona wiersz 1 szp. k. 20
w tekście nadesłane " " " 50

Prenumeratę najlepiej nadsyłać pocztą wprost do Administracji Krakowskie-Przedmieście 71 w Warszawie księgar-
nia „Polaka - Katolika“.

Można jeszcze opłacać „Wieczory Rodzinne“ za kwartał I, II i III

TREŚĆ NUMERU:

Warszawa (z 1 ilustr.). — Obrzędy Bożego Narodzenia, przez Stefanję Ottową. — Noc wigilijna, przez Marję Kaczkowską. Wigilia. — W królestwie Peter Pana. — Odwaga w życiu codziennym. — Z zimowej nocy, przez Annę Drobniewską. — Z podróży po Japonii (z 2 ryc.). — Kąpiele śnieżne. — Przyjaźń wśród zwierząt. — W północnej Afryce (z 1 ryc.). — Eskimowie z blond włosami. — Telefon kieszonkowy. — Tajemniczy samolot, przez Kap. Brereton. — Skrzynka do listów. DODATEK DLA DZIECI. Gwiazdka Bożego Narodzenia. — Boże Narodzenie, przez Marję Romualdę. — Kogo kochać. W noc Bożego Narodzenia. — Śnieżki, przez Marję Romualdę. — Kościół przez Władysława Belzę. — Jak gromadka w Zakrzewku wakacje spędzała.



Ś. p. Kardynał Rampolla.

Dnia 17 grudnia zakończył życie siedemdziesięcioletni Kardynał ks. Marjano Rampolla dei Tindaro.

Marjan Rampolla, markiz, del Tindaro urodził się 17 sierpnia r. 1843 w Polizzi na Sycylii. Kształcił się w Rzymie w Accademia dei Nobili; wyświęcony w młodym wieku, wkrótce zwrócił swymi zdolnościami uwagę Papieża Piusa IX, który go mianował prałatem i sekretarzem kongregacji propagandy. Leon XIII przeniósł go do kongregacji spraw kościelnych nadzwyczajnych, w r. 1882 mianował go Biskupem Heraklei in partibus infidelium i nuncjuszem w Madrycie, w r. 1887, po śmierci Jacobiniego, Kardynałem i sekretarzem stanu.

Odtąd przez lat 16 kierował Rampolla polityką zagraniczną Watykanu; wzmocnienie powagi Watykanu wobec mocarstw, które cechowały rządy Leona XIII, jest w znacznym względzie jego zasługą. Po śmierci Leona XIII, Kardynał Rampolla był najpoważniejszym kandydatem do tjary. Znaczna też ilość głosów padła na niego przy pierwszym głosowaniu w „conclave“ i wybór był pewny. Tymczasem Kardynał Puzyna wystąpił ze znanem „veto“ w imieniu Austrii; choć przyjęte przez Kardynałów z oburzeniem, „veto“ to jednak zaważyło na dalszem głosowaniu, z którego wyszedł ostatecznie Kardynał Sarto.

Po wyborze Papieża Piusa X, Kardynał Rampolla ustąpił ze stanowiska sekretarza stanu. Był jeszcze do końca sekretarzem kongregacji inkwizycji.

Katastrofa nowego samolotu.

Inżynier londyński, Gordon Englad skonstruował nowy aparat lotniczy, na którym w tych dniach chciał odbyć próby. O konstrukcji aparatu było tylko wiadomo, że zewnętrznie różni się od innych znanych systemów. Nowy aparat wygląda jak wielkie koło. Tylko kilku fachowców wtajemniczono w plany. Próba onegdajsza na lotniku pod Brighton nie udała się. Latawiec osiągnął zaledwie wysokość 150 stóp i następnie spadł. Szczęśliwym trafem konstruktor aparatu, Gordon England, spadając, zawisł w powietrzu pomiędzy siecią drutów telegraficznych i odniósł tylko lżejsze rany. Aparat został całkowicie zniszczony.

Robotnicy wynalazcami.

Jeżeli przebiegniemy myślą historję rozmaitych wynalazków, przekonamy się, że bardzo wiele z nich zawdzięcza swe powstanie robotnikom i przypadkowi.

I tak mydło wynalazła prosta kobieta z gminu w Gavonie. Chcąc wyprać bieliznę marynarzom, przybyła na statek naładowany olejem. W czasie prania woda gotowana z sodą zcięła się z bielizną przesiąkniętą tłuszczem. Mydło było wynalezione.

Automatyczny wentyl przy maszynie wynalazł młody chłopiec, dziecko jeszcze, Humphry Potter. Zatrudniony jako pomocnik przy maszynie miał za zadanie przykręcać i odkręcać kurki, doprowadzające wodę do

kotła. Pewnego dnia usłyszawszy odgłosy zabawy swych kolegów, dochodzące z ulicy, zaczął przemysliwać, jakby maszynę zostawić bez nadzoru. Wkrótce spostrzegł, że istnieje pewna łączność między połączeniem obu kurków, a tłokiem maszyny. Gdy tłok był u góry, kurek musiał być otwarty i przeciwnie. Otóż przywiązał on kurki do tłoka za pomocą sznurka, a gdy funkcjonowały nienagannie, poszedł bawić się z kolegami. Wentyl automatyczny był gotów.

Bibuła zawdzięcza swój początek zapomnieniu robotnika w angielskiej fabryce papieru.

Przy mieszaniu papki zapomniał do niej nalać kleju. Właściciel fabryki zestrofił go za nie uwagę, okazało się jednak, że papka bez kleju posiada własność wyciągania atramentu bez zalewania pisma. Odtąd fabryka ta zaczęła wyrabiać wyłącznie bibulę.

Również i odkrycie barometru pośrednio jest za sługą robotnika, florenckiego ogrodnika. Urządził on u siebie pompę z bardzo długą rurą i przekonał się, że woda nigdy nie chciała podnieść się wyżej jak na 10 metrów. Gdy wszystkie usiłowania nie dały rezultatu, zapytał o przyczynę tego zjawiska słynnego fizyka. Galileusza. Uczony, żyjący w czasie, kiedy nie znano jeszcze wagi powietrza i nic nie wiadano o jego ciśnieniu, sam był tem zdziwiony. Podjął więc próby, które uczniów jego, Torricellego i Viviani'ego, doprowadziły do odkrycia barometru.

Katastrofa.

W kopalni „Emma“ pod Radlinem w okolicy Rybnika (Śląsk Górny), wybuchnął pożar. Ogień powstał na pochylni 200 metrów pod ziemią, skąd przeniosły gazy na pokład 400 metrów pod ziemią, gdzie pracowało wielu górników. Rozpoczęto natychmiast akcję ratunkową i większość górników ocalono. Niestety, liczba zabitych również jest poważna, bo 17 górników poniosło śmierć, a dwóch w stanie beznadziejnym odwieziono do szpitala. Przyczyna powstania pożaru jeszcze nie stwierdzona.

Jak jedzą monarchowie.

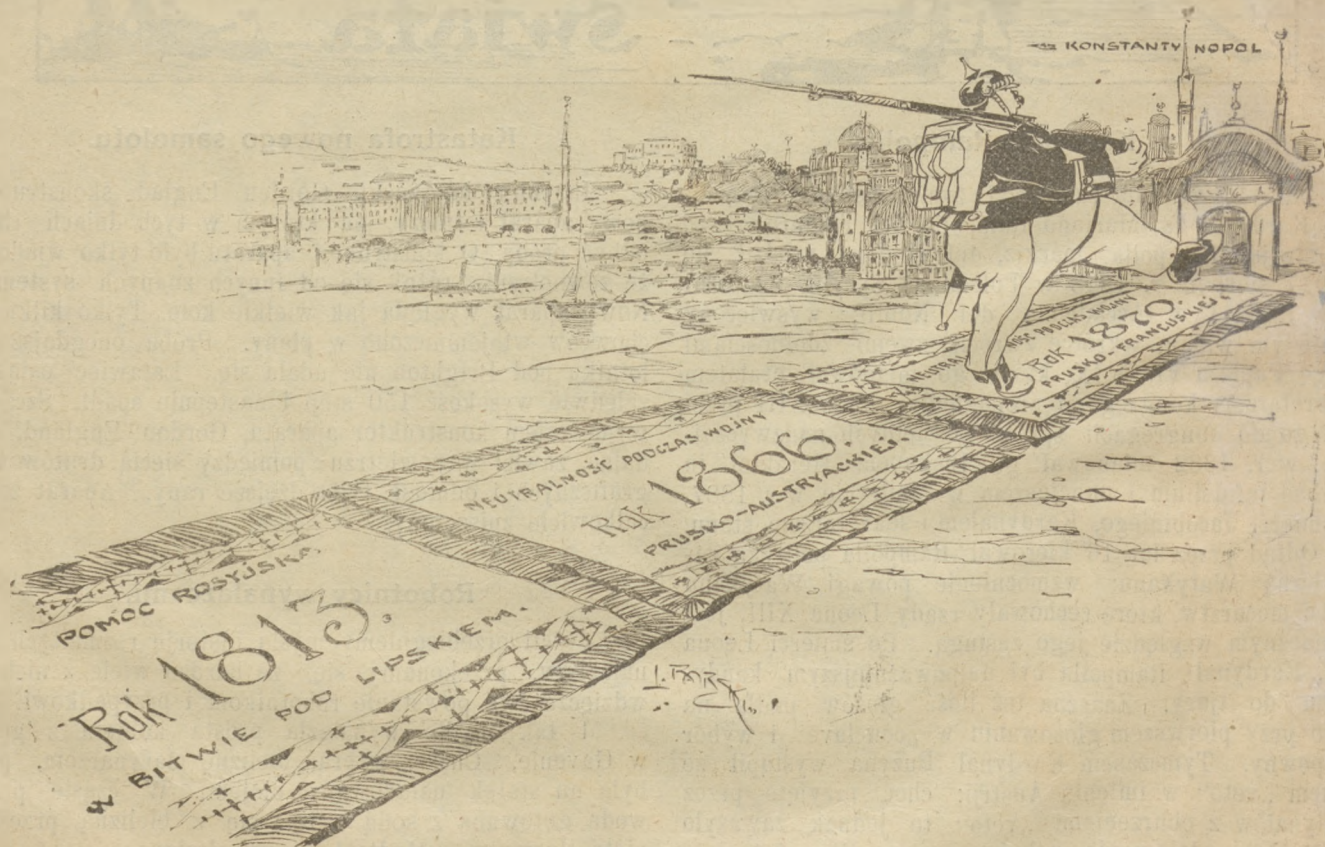
Z okazji okrzęnej podróży prezydenta Poin Francji, przypominały francuskie pisma gusta monarchów-smakoszów, konstatując, że i pan Rajs Poincare zdradza wytworny smak, godny korony głowy, i że nie wznosi toastów lemoniadą albo szampanem — jak to czyni prezydent Stanów Zjednoczonych dr. Wilson. Dowodem tego ostecznie ma być kuchnia pałacowa Elizejskiego, która za Falliersa stawała się po prostu mieszczańską, wyjąwszy najlepsze gatunki szampańskiego wina, jedynie przez ex-prezydenta uznawanego.

Prasa francuska wspomina także Loubeta, o którym mówi, że słusznie mógł być dumą francuskich smakoszów, tembardziej, iż mając nadzwyczaj wyrobiony smak, bardzo wybredny, zawsze pierwszeństwo dawał pokarmom, przyprawionym według francuskiego zwyczaju, na oliwie.

Co do innych monarchów, to przypomina się, że Edward VII nie znośił cebuli, Ludwik XVIII szczególną uwagę zwracający na stół, nie mógł się obejść bez szpinaku. Ludwik XVI z punktu widzenia smakoszów miał tę wadę, iż jadł za dużo. Podczas choroby zjadał rosół z gołębi, duszone kotlety i trzy pieczone kurczęta, a jak był zdrow, nie przejadł się, zjadłszy dobrą porcję zupy, całego bażanta, kuropatkę, pełny półmisek salaty, ładną porcję cieleniej pieczeni, dwa porządne platy szynki, talerz pieczonego mięsa, talerz ciastek, poczem jadł w wielkiej obfitości owoce.

Ludwik VIII lubił bardzo mięso na słoninie, a o Karolu Wielkim tradycja mówi, iż najchętniej jadł dziczyznę.

Szereg smakoszów na tronie francuskim przerwał w pryzkry sposób Napoleon Wielki, który jadł szybko i bez wyboru, jak człowiek wiecznie się spieszący i dlatego podczas obiadów dworskich robił niemiłe wrażenie nie tylko z powodu złego wyboru potraw, ale i złego smaku.



Niemiec, idący do Konstantynopola:

„Kochany sąsiad sam nie wie jak mi ułatwił drogę z Berlina do Turcji“.

Wieczory Rodzinne

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

WARSZAWA.

Każde ze starszych miast posiada ciekawe dzielnice, w których zachowały się budowle starożytne i pamiątki historyczne.

Warszawa również ma taką dzielnicę, a jest nią Stare Miasto. Przechodnia, wchodzącego tam z placu Zamkowego uderzyć muszą ciasne, kręte uliczki, szczelnie zabudowane wysokimi lecz wązkimi domami.

Ciasnota taka była konieczną wówczas, gdy całe miasto otaczane było murem obronnym na wypadek wojny, należało zatem wykorzystać każdy kawałek gruntu na domy. Te zaś, wedle zwyczaju i przepisu nie powinny były posiadać więcej nad 3 okna frontowe na każdym piętrze. Wyjątek tylko robiono dla dostojników, którzy mogli budować domy o 5 oknach frontu.

Ciasno było w miastach, rynek jedynie, na którym odbywały się targi, uroczystości i t. p. bywał obszerniejszym. Tak też było i w Warszawie, lecz nie sądźmy by Rynek staromiejski był dawniej tak obszernym, jak obecnie. Pośrodku bowiem stał ratusz, zwalony przed dziewięćdziesięciu przeszło laty.

Na rynku Staromiejskim wznoszą się domy, pamiętające bardzo dawne dzieje. Na rogu Rynku i Brzozowej stoi kamieniczka, w której zamieszkiwał czas niejaki słynny kaznodzieja ks. Piotr Skarga. Opośdą wylotu uliczki, zwanej Krzywe Koło jest dom niegdyś rodziny Barzycków, stanowiący obecnie własność Tow. opieki nad zabytkami przeszłości. Przy zbiegu zaś Rynku z Wązkim Dunajem widzimy kamienicę, która w swoim czasie była zamczkiem książąt Mazowieckich, a dziś jest wła-

snością Towarzystwa miłośników historii; obok wznosi się kamienica pod „Okrętem“ mieszcząca skład win należący od 300 lat do rodziny Fukierów.

Są to jedynie najwybitniejsze domy staromiejskie, trudno wyliczyć wszystkie, gdyż o każdym prawie możnaby napisać kilka słów choćby, a o dawnych kościołach naszych dałoby się ułożyć całe tomy.

Lecz z biegiem czasu w starej Warszawie robiło się coraz ciasniej.

Warszawa rosła coraz bardziej. Zburzono mur obronny, który biegł wzdłuż ulicy Podwale, przybito domów, wznoszono ozdobne gmachy.

Wszelkie budynki publiczne są zazwyczaj najokazalsze. Świątynie, zakłady naukowe i dobroczynne, miejsca wystaw i rozrywek ozdabiają miasto i nieraz są piękne, jak widzimy z rycin, przedstawiających Stare Miasto i Teatr Polski.

O dawnej Warszawie pisało wielu autorów. Najstarszy opis jej stanowi „Gościniec“ Jastrzębskiego, pisany wierszem na początku 17-go stulecia. Pozatem istnieje kilka późniejszych przewodników.

Obecnie, gdy miasto się rozrosło, dawne opisy nie wystarczają, mimo to Warszawę należy poznać.

Największe miasto Królestwa pełne pamiątek zasługuje na to w najwyższym stopniu.

Warszawę trzeba zwiedzać, tak jak zwiedza się różne ciekawe okolice, z przewodnikiem znającym ją, a opowie on o niejednym budynku i niejednym placu bardzo ciekawe rzeczy.



Rynek Staromiejski.



Teatr Polski w Warszawie.

Obrzędy Bożego Narodzenia.

Zbliża się radosna uroczystość z utęsknieniem oczekiwana szczególnie przez dziatwę i młodzież, uroczystość Bożego Narodzenia i połączonych z nią religijnych obrzędów i przyjemności w zaciszu domowym.

A jednak, napewno nie każdy wie, jakie jest znaczenie tych obrzędów. skąd się wziął ten i ów zwyczaj, bez którego, zwłaszcza my, Polacy, nie wyobrażamy sobie tych świąt, tak ściśle one złączone są z uroczystością Narodzenia Chrystusa Pana.

Przedewszystkiem trzeba wiedzieć, że uroczystość Bożego Narodzenia nie zawsze była obchodzona tak jak teraz dnia 25 grudnia, lecz w ciągu trzech pierwszych wieków, wskutek niedokładnej wiadomości, w jaki mianowicie dzień narodził się Zbawiciel, chrześcijanie obchodzili pamiątkę Narodzenia Pańskiego jednocześnie ze świętem Trzech Króli.

W IV dopiero wieku, na obchód Bożego Narodzenia wyznaczony był rzeczywisty dzień tego radosnego zdarzenia, a mianowicie 25 grudnia, którą to datę ustanowił papież Juljusz I w 336 roku.

Święto to jest jednym z najbardziej uroczystych i radosnych w Kościele. Chrześcijanie zwykli tego dnia śpiewać pieśni radosne, religijne na znak, że Boże Narodzenie stało się źródłem wszelkiej radości oraz na pamiątkę, że przy narodzeniu Zbawiciela aniołowie śpiewali pieśń: „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!“. Jeżeli Boże Narodzenie wypada w piątek, to powstrzymanie się od mięsnych potraw w ten dzień na znak radości nie obowiązuje.

Święto Bożego Narodzenia daje kapłanom przywilej odprawiania w ten dzień trzech Mszy św. Jest to zwyczaj bardzo starożytny, przypominający potrójne narodzenie się Zbawiciela, a mianowicie: przedwieczne narodzenie się Jego z Boga Ojca, narodzenie się z Przenajświętszej Dziewicy w Betleem, oraz mistyczne narodzenie się Zbawcy w duszach wiernych przez wiarę i miłość, a zwłaszcza przez św. Komunię, którą przyjmują wierni.

Jedna z tych Mszy św. odprawia się zwykle o północy i nazywa się „Pasterką“; ma nam bowiem przypominać pasterzy, którzy usłyszawszy o Narodzeniu Dzieciątka Bożego, natychmiast pobieżeli oddać Mu pokłon. Druga Msza nosi nazwę anielskiej, trzecia — królewskiej.

Do obrzędów tego święta należy także bardzo starożytny zwyczaj urządzania wieczerzy w wigilję. Nazywa się ta wieczerza „Wilją“ i przypomina ogólne, wspólne biesiady, tak zwane „agape“ urządzone niegdyś przez pierwszych chrześcijan.

U narodów pochodzenia słowiańskiego, zwłaszcza u nas Polaków, wieczerza ta się łączy ze wspomnieniami starych, pogańskich jeszcze obrzędów, obchodzonych w tymże mniej więcej czasie na cześć bóstw zimy. A że wówczas każda uroczystość bądź smutna, bądź wesoła, bądź domowa, bądź religijna zawierała w sobie konieczne biesiady, uczutowanie, obfitość wszelkiego jadła i napoju, więc i ta tradycyjna wieczerza jest poniekąd pozostałością owych prastarych obrzędów, które Kościół po zaprowadzeniu chrześcijaństwa pozostawił, gdyż uważał je za nie sprzeciwiające się wierze i tylko połączył z nauką chrystjanizmu.

Wieczerza ta rozpoczyna się od łamania opłatka, na znak jedności i braterstwa wszystkich ludzi.

W wielu krajach i w naszym również, weszło w zwyczaj urządzenie choinek, podczas świąt Bożego Narodzenia. Drzewka te mają nam przypominać o rajskim drzewie wiadomości dobrego i złego, o grzechu pierwszych naszych rodziców, a także o drzewie krzyża, na którym umarł Zbawiciel dla zbawienia świata.

Z tej przyczyny postanowiono obchodzić 24 grudnia pamiątkę Adama i Ewy.

W niektórych kościołach jest zwyczaj urządzenia na Boże Narodzenie żłobka, co ma nam przypominać, że nowonarodzone Dziecię Jezus było położone w żłobku stajenki betleemskiej.

Papież Sykstus V i Pius VII ustanowili wiele odpustów i łask duchowych dla tych, którzy tego dnia uczczą Boskie Dzieciątko przez odpowiednie modlitwy, spowiedź i komunię świętą.

Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia przeznaczony jest na uczczenie św. Szczepana, pierwszego męczennika, a trzeci dzień ku czci św. Jana apostoła. W ten dzień poświęca się i daje się do picia wiernym w kościele wino na tę pamiątkę, że św. Jan ewangelista przeżegnawszy zatrute wino, podane mu do wypicia przez jego prześladowców, wypił je bez żadnej szkody dla zdrowia. Z tego też powodu często malują świętego Jana z kielichem wina w ręku, z którego wychodzi wąż.

W czwarty dzień Bożego Narodzenia obchodzi się doroczna pamiątka św. Młodzianków, których nakazał stracić Herod, w celu zabicia wraz z nimi i nowonarodzonego Zbawiciela.

W wielu polskich domach w czasie wieczerzy wigilijnej, pod obrus nakrywający stół, kładą siano, a to na pamiątkę ubóstwa Bożego Dzieciątka, położonego nie na miękkiej, ciepłej pościeli, lecz na sianie.

Stefanja Ottowa.





PRZYBIEŻELI DO BETLEEM PASTERZE...

Noc wigilijna.

Na ustronnej wyspie przy brzegach Norwegji stoi latarnia morska, umieszczona na wysokiej wieży, co co wieczór latarnik zapala ją. Jasny snop światła roztacza się naokół, ostrzega zbliżające się statki do portu o grożącym niebezpieczeństwie z powodu raf podwodnych u brzegów wybrzeża.

Latarnia ta, za pomocą korby obraca się i tym sposobem oświetla port, jeżeli jednak tego się nie czyni, światło pada na jedną stronę, nie oświecając całej niebezpiecznej przystani.

Latarnikiem znanym i cenionym na całą okolicę był Jakób Swen.

Zbliżał się dzień Bożego Narodzenia. Jakób ze zdwojoną usilnością czuwał na swoim posterunku. Na nieszczęście coś w mechanizmie zepsuło się tak bardzo, że z wielkiem wysileniem mógł obracać latarnię.

Przeddzień wigilji pracował niezmordowanie na wieży. Wiatr z wściekłością miotał morskimi wodami, wznosił fale do niebываłej wysokości, wnikał w szczeliny ścian niedostatecznie zaopatrzonych. Zdawało się, że nie tylko wywróci latarnię, ale i wieżę całą popchnie w niezgłębioną otchłań.

Całą noc pracował Jakób, obracając z wysiłkiem rękoma latarnię, ale nad ranem czuł, że opuszczają go siły a coraz uporczywszy kaszel powracał, wstrząsając ciałem.

Niespokojna o męża żona, wczesnym rankiem pobiegła na górę — zastała go rozgorączkowanego, — jednak pracującego nieustannie, gdyż chciał naprawić zepsute i źle obracające się koło.

— Zmiłuj się, Jakóbie, — mówiła — przestań, jesteś chory. Gorączkowe rumieńce jakie ci na twarz wybiegły, świadczą że cierpisz.

— Ach Brygido! — rzeczywiście czuję, że choroba we mnie wzmaga się, że siły mnie opuszczają, ta noc była straszna, ciemność tak wielka, że o parę kroków, nic dojrzeć nie można było, cóż stałoby się z tymi nad których życiem przyrzekłem czuwać?

— Co będzie jednak wtedy, gdy się rozchorujesz i nikt cię zastąpić nie będzie zdolny?

— Parogodzinny spoczynek powróci mi siły. Patrz, wschodzi słońce — mogę spokojnie opuścić placówkę.

Lecz zaledwie dzielny ten człowiek zeszedł do izby która znajdowała się u stóp wieży i znużoną głowę przyłożył do poduszki, wnet gorączka, która go od dni kilku gnębiła, wybuchła z całą siłą i nieszczęśliwy latarnik, stracił przytomność.

Nieustannie zdawało się latarnikowi, że stoi przy latarni, a няма sił odwrócić jej, a rozbijający się o skały okręt w ciemności, napełnia go przerażeniem; ginący ludzie zlorzeczą mu, wymawiając niedbałość w spełnieniu obowiązku.

Chory zrywał się z posłania, na które po chwili bezsilny opadał.

Świadkami tej męczarni była nie tylko żona Jakóba, ale i dwoje jego dzieci, starsza córeczka Joasia, mająca lat dziesięć i o dwa lata młodszy jej braciszek Pietrek.

Usługując matce lub choremu ojcu, dzieci, spoglądały smutno na siebie.

Wszakże dzień ten to była wigilja Bożego Narodzenia, na całym świecie chrześcijańskim obchodzono tak radośnie i uroczyście, a u nich, cień smutku zaległ szczęśliwedotąd, dni ich życia, a niepokój o zdrowie i życie ojca zatruwał każdą chwilę.

Rychło przeszedł dzień zimowy i mrok zapadać zaczął. Jakób z każdą chwilą stawał się niespokojniejszy.

Joasia dała znak braciszкови i oboje wyszli do sionki, z której prowadziły schody na wieżę.

— Słuchaj Piotrusiu — zaczęła — trzeba nam obmyśleć sposób aby zapalić latarnię. Morze silnie jest wzburzone i ciemność na niem panuje.

— Ale jak temu zaradzić? — pytał Pietrek — kto zastąpić może ojczulka, słyszałaś, jak rano wczoraj nad tem ubolewał, że korba się złamała?

— Słuchaj — mówiła znów dziewczynka — przed kilku dniami byłam na wieży z ojcem, pokazywał mi w jaki sposób obraca koło, i dodał, że gdyby się coś zepsuło przy niem, trzebaby rękami je popychać. Pokazywał mnie też w jaki sposób nalać oleju i spełniać tę czynność, a ja przez ciekawość o wszystko pytałam, mam to w pamięci.

Pójdę na wieżę, spróbuję zastąpić chorego ojca. — Nie boisz się siostrzyczko iść po tych ciemnych kręconych schodach? — pytał zaniepokojony chłopiec.

— Czego się mam obawiać? pójdę i spróbuję, napełnię lampę olejem i zapalę.

— Nie puszczę cię samą Joasiu, pójdę z tobą i będę ci pomagał jak umiem.

Odważne dzieci, świecąc sobie po drodze zapalnikami i świeczką, wbiegły po niebezpiecznych schodach.

Znalazłszy się jednak na szczycie wieży i spojrzawszy przez okienko małe, kiedy zobaczyły u stóp swoich piętrzące się bałwany i usłyszały szum podobny do strasznego ryku, przez chwilę struchlałe objęły się rączkami — a Piotruś chciał uciekać. Ale odważna dziewczynka opanowała wkrótce twogę, którą przejęte było jej młode serduszko i rzekła z energją:

— Nie pomyślałaś, że ojciec nasz tyle nocy tu przepędził z myślą, iż światło latarni ratuje życie ludziom?

Piotruś zawstydzony wzrok spuścił — ale poczał nieśmiało:

— Moja Joasiu, to noc Narodzenia Zbawiciela, mamy ją przepędzić w osamotnionej wieży?

— Właśnie, braciszku — Dzieciatko Jezus pobłogosławi nam i sił doda, modląc się chwalić go będziemy — a skoro gwiazda Betleemska zaświeci, to On oczy swoje cudowne zwróci ku nam, uratuje tych co zginaćby mogli, bez gwiazdy przewodniej.

— Prawda — zawołał Piotruś — wierzę, że Dziecię Jezus uratuje nas i sił doda.

W tej chwili ciemność zaległa naokół a złowrobnny szum fal zwiększył się, wiatr północny hulał po obszarze morskim, dął bez litości.

Dzieci nie zważając na to, zabrały się do pracy.

Nalały oleju do lampy, a kiedy zapaliły ją i światło rozbłysło, raźniej zabiły im serduszka. Należało teraz obracać latarnię, aby nie tylko oświecała jedną stronę, ale całe wybrzeże i port.

Joasia umiała sobie radzić, a przy pomocy drąga wsuniętego w otwór słupka pod samą latarnią, udało się dzieciom z jednej i drugiej strony, wykonywać tę czynność.

Należało jednak dokonywać to co kilkanaście minut conajmniej.

Z początku oboje dzieci pracowały z zajęciem i chętnie, ale wkrótce Piotruś, czuł się zmęczony i całą pracę musiała spełniać sama Joasia.

Wolno upływały godziny, a Joasia pomimo całej odwagi, w obawie aby nie pozostała sama w tej pustce zaczęła opowiadać braciszce o Narodzinach Zbawiciela w grocie sromotnej, o odwiedzinach pastuszków i ich darach, a Pietrek oparłszy się o ścianę coraz stawał się cichszy, wreszcie zasnął.

Joasia walczyła ze znużeniem, pracowała jednak bez wytchnienia, mróz się wzmacniał, a ręce zmęczone i zesztywniałe dziewczynki, zaledwie podołać mogły tej pracy obracania ciężkiej latarni.

— Co począć, myślało zmęczone dziewczę — gdy przestanę poruszać tym drągiem, wywołać mogę nie-szczęście, za które będzie odpowiedzialny mój ojciec? O Boże, racz dodać mi sił!

Modlitwa czystej duszy, gotowej do poświęceń; wysłuchana snąć została.

Z po za obłoków rozsuwających się nad głębią morską, wypłynęła twarz księżycy w pełni rzucając blade ale wyraźne światło, na wschodzie ukazała się niewidoczna dotąd gwiazda pasterzy.

W tej chwili na schodach, dały się słyszeć zmieszane głosy. Gdzie są te dobre, odważne dzieci — wołał Patryk, jeden z przywódców załogi statku, który przed godziną, dobił szczęśliwie do brzegu, gdzie, niech je uściskam i podziękuję. Drzwi do izdebki na

szczyt wieży, otwierają się i przez nie wchodzi — kapitan statku przyjaciel latarnika, z synem Martynem, dzielnym chłopcem okrętowym. Ten ostatni z omdlałej ręki Joasi bierze drąg do obracania latarni, a ojciec Patryk zziębłą dziewczynkę tuli w objęciu i na rękach znosi do mieszkalnej izby rodziców; poczem po zbudzonego Pietrka powraca.

Tam już sprowadzony doktor czuwa nad chorym, przytem pociesza stroskaną żonę, mówiąc do Sweena.

— Odwagi kochany Jakóbie nic ci nie będzie, rychło powrócisz do zdrowia, szczęśliwie się stało, iż mogłem zle w zarodku zdławić, wszystko będzie dobrze.

Wkrótce zajaśniało i „drzewko“. Joasia tuląc się w objęciach matki powtarzała.

Chyba to Jezus maleńki, nam z nieba taką zesłał wigilję!

Tak odpowiedziała wzruszona matka. On was natchnął odwagą do spełnienia tego czynu i wyręczenia ojca. A ojciec odezwał się słabym głosem. — On was błogosławić będzie za to, żeście uratowały życie wielu. Nad chatą latarnika unosił się błogosławiący anioł, posłannik Boży, powtarzając wyrazy wyrzeczone do pastuszków w Betleem. „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli“.

Marja Kaczkowska

W I G I L J A

Do stołu już podano. Zebrana rodzina
Łamie się opłatkiem i życzenia składa,
Potem gwarno, wesoło do wieczerzy siada,
O tych, co nie przybyli ten i ów wspomina.
Uściski dookoła. Szczęśliwa godzina!
Nikt życia codziennego trosk nie wypowiada:
Tu spojrzenie przeciągłe, tam śmiechu kaskada;

Każdy szczęściem oddycha, bólów zapomina.
Komu te chwile znane, ten o nich pamięta,
Gdy nadejdzie wigilja wspomnieniami święta,
Sam przy stole z tych wspomnień dawne dzieje
[splata.
W oczach lśni się wieczerza gwarno, uśmiechnięta,
Do której myśl serdeczna z westchnieniem ulata.



KĄPIELE MORSKIE W JAPONJI.

W królestwie Peter Pana.

11)

Peter Pan nie mógł zdać sobie sprawy z tego, czym właściwie są bliźnięta, a wobec tego oddział jego również nie ośmielił się wiedzieć coś, czego by on nie wiedział; bliźnięta przeto mieli o sobie wyobrażenie bardzo niejasne i starali się usilnie zadowalać towarzyszy, zawsze razem się trzymali, zawsze byli skorzy do posług i wyręki innych.

Chłopcy zamknęli się w ciemnościach, po niedługim czasie śladem chłopców pojawili się korsarze. Słysząc ich było z oddali, zanim się ukazali; wciąż powtarzali jedną zwrotkę pieśni korsarskiej:

Niech żyje korsarz! Pieśń o nim nie zaginie!
Wszak on — postrachem wszystkich marynarzy!
Nikt, jak on wśród podwodnych głazów nie przepłynie
Z nim, królem morza — nikt się porównać nie waży!

Straszne to były postacie znane już dzieciom z powieści.

Śladem korsarzy postępują milczący czerwonoskórzy o bezrzęsych oczach, w całym rynsztunku wojennym po ścieżkach niewidocznych dla oczu niewprawnych. Ubrojeni są w noże i tomahawks'y, a nagie ich ciała wysmarowane olejem i dziwacznie tatuowane. Biodra opasują im powiązane skóry. Czerwonoskórzy tutejsi należą do plemienia Pikaninów. Na przodzie, z podniesionymi rękami, postępuje olbrzymi, sławny Pantera, na którego grzbiecie uwieszonych jest tyle skór ludzkich, że przeszkadzają mu w chodzie.

Pochód zamyka Czerwona Lilia, księżniczka dumnie wyprostowana, ich wszechwładna pani. Uchodzi ona za najpiękniejszą z pośród dam murzyńskich i czerwonoskórych jednak zmiennego usposobienia, to zimna to serdeczna.

Uważajcie tylko, jak cicho przesuwają się oddział po suchych gałęziach i liściach, bez szelestu. Jedynym szmerem jaki możnaby dosłyszeć to odgłos ciężkiego i przyspieszonego oddechu.

Czerwonoskórzy znikają jak cienie i natychmiast miejsce ich na widowni zajmują dzikie zwierzęta; wielki korowód: lwy, tygrysy, niedźwiedzie i niezliczona mnogość

zwierzyny, umykającej przed pościgiem, tygrysów i niedźwiedzi. Wszelkiego rodzaju zwierzęta a przede wszystkim pożeracze ludzkiego mięsa, żyją w zgodzie na ulubionej wyspie. Obecnie powysuwały ozory; są wygłodzone.

Po przejściu zwierząt zjawia się ostatni: olbrzymi krokodyl. Dowiemy się zaraz kogo on poszukuje.

Za krokodylem pojawiają się na nowo chłopcy, ponieważ pochod ten ciągnąć się musi bez przerwy, aż do chwili, póki jeden z oddziałów się nie zatrzyma albo nie zmieni kierunku.

Pierwsi wyszli z zaczarowanego koła chłopcy; zawrócili szybko na ścieżkę, wiodącą do ich podziemnego mieszkania.

— O, gdyby Peter Pan nareszcie powrócił! — rzekł jeden z nich żałośnie!

Wszyscy oni byli starsi i silniejsi od swego przywódcy.

— Ja jeden tylko nie obawiam się korsarzy — rzekł Znosek tonem, który się nikomu z nich nie mógł podobać; w tej chwili dolecieć go musiał jakiś odgłos daleki, bo dorzucił szybko:

— Ale i ja chciałbym, żeby powrócił.

Za wyjątkiem Piórka, który oddalił się na poszukiwania jakieś, wszyscy schronili się do podziemnego mieszkania. W jaki sposób zdołali się zapaść pod ziemię niespostrzeżenie? Nie było nigdzie widocznego otworu, ani jedna gałązka nie poruszyła się! Zauważcie jednak, że znajduje się tu siedem drzew wielkich, a w ich pniach wywiercone są otwory odpowiednie do chłopca. Oto siedem wejść do podziemnego mieszkania, które korsarz od siedmiu miesięcy na próżno szuka. Czy odkryje je teraz?

Podczas, gdy korsarze postępowali naprzód, baczne oko Starkey'a dojrzało Piórka przesuwającego się po lesie, korsarz wyciągnął pistolet, ale w tejże chwili żelazny hak wpił się w jego plecy.

— Kapitanie, puść mnie! — krzyczał, wijąc się z bólu.

— Schowaj naprzód pistolet — odpowiedział ten groźnie.

— Dojrzałem jednego z chłopców, których nienawidzicie. Mogłem go trafić.

— Brawo! a huk mógł sprowadzić na nas czerwonoskórych. Czy chciałbyś by cię oskalpowali?

— Czy mam pobiedz za chłopcem, kapitanie? — zapytał.

— Tymczasem jeszcze nie, Smee — rzekł Haczyk tajemniczo. Nie chcę jednego, ja wszystkim siedmiu urządzić muszę święto. Rozdzielicie się i wytropicie ich!

Korsarze rozbiegli się i przepadli wśród drzew. Dowódca i Smee pozostali sami.

Od chwili, w której korsarz usiadł na grzybie uczuwał pewne ciepło.

— Smee — rzekł Haczyk — siedzenie to jest ciepłe.

Naraz zerwał się.

— Przez belzebuba! — wykrzyknął — potrząśnij grzybem!

Naprzód obejrzeni ze wszystkich stron grzyb, który był wielkości nieznanej na stałym lądzie i zamierzili się by go wyrwać z ziemi; grzyb został im w rękach, ponieważ nie miał korzenia. Co dziwniejsze, z miejsca, gdzie rósł grzyb poczęły się wydobywać kłęby dymu.

Korsarze zdumieni spoglądali po sobie.

— Otóż i przejście! zawołali — jednogłośnie.

Istotnie odkryli niechcący przejście wiodące do podziemnego mieszkania chłopców.

Chłopcy mieli zwyczaj zatykać otwór grzybem, kiedy przypuszczali że nieprzyjaciel znajduje się w pobliżu.

Nietylko kłęby dymu wydobywały się na zewnątrz. Słysząc było wyraźnie głosy chłopców, którzy sądząc się bezpiecznymi w kryjówce swej, wesoło gwarzyli. Korsarze przysłuchiwali się wzdychając żałością; potem grzyb na nowo w otwór zatknęli. Rozglądając się bacznie dokoła zauważyli siedem otworów w siedmiu drzewach.

— Czy wiecie na pewno, że Peter Pan jest nieobecny? — wykrztusił Smee, poruszając się nerwowo.

Haczyk potwierdził skinieniem głowy. Przez dłuższy czas pogrążył się w myślach, w końcu lodowaty uśmiech pojawił się na ciemnej twarzy jego. Smee zauważył to.

— Objaw nam plan swój kapitanie — prosił trwożliwie.

— Wracać do domu — żartem cedził Haczyk — upiec olbrzymi tort, polać go zielonym lukrem. Tam, na dole musi być jedna tylko izba ponieważ jeden jest komin. Te głupie włóczęgi nie pojmują, że zbytecznym mieć poszczególne otwory dla każdego z nich. Zostawimy tort na brzegu laguny syren. Łobuzy ci wciąż tam zachodzą, pływają nie wiedząc jak zaszkodzić sobie tem mogą!

Wybuchnął śmiechem wymuszonym.

— Jestto najszkodliwsza ale sympatyczna polityka — zawołał i w upojeniu zaczął tańczyć i śpiewać:

Niech żyje korsarz! Pleśń o nim nie zginie!

Wszak on — postrachem wszystkich marynarzy!

Nikt, jak on, wśród podwodnych głazów nie przepłynie
Z nim — królem morza, nikt się porównać nie waży!

Towarzysze zaczęli mu chórem odpowiadać, nie dokończyli jednak pieśni, usłyszeli bowiem coś, co ich ucieszyło. Z początku niejasny szmer słyszeć się dał, spadający liść byłby go przytłumił; w miarę jednak jak się zbliżał stawał się silniejszym i wyraźniejszym.

Tik-tak, tik-tak, tik-tak!

Dreszcz śmiertelny wstrząsnął Haczykiem, jedną nogę wysunął naprzód:

— Krokodyl! — wyjąkał — i uciekł co sił; za nim podążył wierny Smee.

Był to istotnie krokodyl, który prześcignął czerwonoskórych, postępujących w ślad korsarzy i węsząc tropił Haczyka.

Raz jeszcze chłopcy uszli cało.

Nie koniec jednak przygodom strasznej owej nocy; równocześnie z krokodylem biegł Piórko bez tchu, gnany przez stado wilków. Prześladowcy, z wywieszonymi ozorami, wyjąc przeciągle doganiali już chłopca.

— Ratunku! ratunku! — błagał Piórko, rzucając się na piersi.

— Co robić? co robić?

Na pochwałę Peter Pana trzeba przyznać, że chłopcy, w okropnej chwili owej wszyscy jednocześnie o nim pomyśleli.

— Co zrobiłby Peter Pan? — zawołali razem.

Niemal w tejże chwili dodali:

- Patrzałby na nich po przez nogi.
— A zatem uczynmy to, coby on uczynił.

Wszyscy się schylili, głowy wsunęli między nogi i wpatrzyli się w wilków ogistemi oczami. Następna chwila wydała się długą, jak wieczność; zwycięstwo jednak było szybkie, ponieważ chłopcy następowali na wilki w straszliwej swej pozycji, co widząc wilki, zawróciły i ze spuszczoneymi ogonami uciekały śpiesznie.

Wówczas Piórko zerwał się z ziemi i zaczął się w stronę wilków wpatrywać uporczywie, że towarzysze sądzili iż jeszcze goni wzrokiem za nimi. Ale on już wilków nie widział.

— Zobaczyłem coś cudownego! — zawołał, podczas gdy towarzysze otoczyli go zwartem kołem — niby ptak wielki całkiem biały, leci tu, ku nam.

— Co to za rodzaj ptaka może być? zapytali.

— Nie wiem — odparł Piórko, ale wydaje się być znużonym, gdyż jęczy z cicha.

— Biedna Wendy!

— Zdaje mi się, że są ptaki które się tak nazywają — zauważył Znosek.

— Patrzcie, zbliża się! — zawołał Kędziorek, ukazując na unoszącą się w powietrzu Wendy.

Cichy jęk Wendy ledwie był dosłyszalny. Wyraźniejszym za to był ostry dźwięk głosu wróżki Fiutinny. Zazdrosna wróżka zapomniała chociażby o przyjaźni czy życzliwości i rzuciła się na swoją ofiarę, trącając ją i szczypiąc z wściekłością.

— O! Fiutinna! zawołali zachwyceni chłopcy.

Odpowiedź Fiutinny tak brzmiała:

— Peter życzy sobie, byście strzelali do Wendy.

Nie było zwyczajem chłopców roztrząsać żądań, a nawet życzeń Peter Pana.

— Uczynmy to co Peter Pan sobie życzy — zawołali nieroztropni chłopcy.

— Prędko! łuki i strzały nasze.

d. c. n.

Odwaga w życiu codziennem.

Ułożyć sobie życie według utartych zasad obyczajowych, jest bardzo trudnem zadaniem dla tych, którym zbywa na odwadze. Rzadko bardzo i to chyba przypadkowo udaje się człowiekowi, nieposiadającemu odwagi, nie uzbrojonemu należycie w gorliwość i wytrwałość — przeprowadzić w życiu to, co sobie najmocniej postanowił.

Kto drży przed ludzką naganą i po lada najmniejszym rozczarowaniu traci odwagę, kto nie może zapamiętać nad swemi ułomnościami i błędami, ten nigdy nie wzniesie się ponad siebie i zawsze będzie się krępował rzeczywistemi lub urojonemi granicami.

Nie każdy z nas może się zdobyć na taką odwagę, jaką się męczennicy lub zdobywcy odznaczili, lecz każdy może i powinien zdobyć się na odwagę niezbędną w życiu codziennem.

Do nadzwyczajnych w tem życiu czynów powołanych jest bardzo niewielu — lecz czyż nie jest o wiele zaszczytniej przejść przez życie z tysiącami jego codziennych walk i utrapień z dumnie podniesionem i pogodnem czołem, niż spełniać szybko jakiś ryzykowny, odważny czyn?

Miej odwagę pokonać samego siebie, swoje namiętności i nawyczki, i odrzuć wszelkie wymówki, które tak łatwo na usprawiedliwienie twych czynów z pomocą przychodzą.

Miej odwagę wypowiadać, gdzie należy, twoje zdrowe zapatrywania i nie bądź pobłażliwym, gdzie widzisz fałsz, lecz wszelkiemi siłami zawsze pomagaj prawdzie na wierzch wypłynąć. Kto milczy na zło, — jest jego współnikiem, a kto podnosi dobrą działalność i wskazuje na nią — sieje niejako ziarno podobne do dobrych czynów.

Miej odwagę przyznać się do popełnionego błędu lub do nieświadomej jakiejś rzeczy, roztrząsając w ten sposób swoje sumienie, wyrobisz sobie szacunek i pójdziesz drogą prawdy i postępu.

Fałszywy wstyd, który zabija wszelką odwagę, wypływa z pychy lub tchórzostwa i jest bezpłodny jak pusty kłos.

Miej odwagę przyznać się, że twoje środki nie pozwalają ci na zbyteczne wydatki, przez co odejmiesz sobie wiele goryczy, a zaoszczędzisz sobie wielu nieprzyjemności i upokorzeń.

Miej odwagę przekładać bardziej zdrowie i wygodę ponad przyjęte zwyczaje i wymysły nierozsądnej mody. Miej odwagę traktować twych biednych, niepokazanych przyjaciół serdecznie nie tylko, gdy sam z nim jesteś, lecz i wtedy, gdy spotkasz ich w towarzystwie takich ludzi, którzyby cię za takie znajomości nawet mniej szanować mieli.

Wówczas łatwiej przejdiesz przez życie, bo nie nie trwożąc się nikim i niczem, staniesz się prawdziwie niezależnym, dobrym i pożytecznym członkiem społeczeństwa.



Z zimowej nocy.

Leciuteńko śnieżek pruszy
Wolno... cicho pada:
Płyń piosnka z mojej duszy
Tym płateczkom rada.
 Bielusieńkie takie całe
 Ziemi całun ścielą;
 Chociaż gwiazdki drobne, małe,
 A ten świat ubielą.
Otulona w płaszcz bogaty
Ziemia odpoczywa;
Cicho księżyc niby czaty
W' chmurze się ukrywa.

W półświatlanych drży promieniach
Niby senny mruga;
Złotem sypią, jak w marzeniach
Gwiazdki... jedna... druga...
 Pełna czaru noc zimowa
 Rozmarzona taka;
 W brylantowy płaszcz się chowa,
 Jak królowa jaka.
Śnieżne gwiazdki leciusieńkie
Zimne iskry niecą;
Niby duchy bielusieńkie
Lecą sobie... lecą!...

Anna Drobniewska.

Z podróży po Japonji.

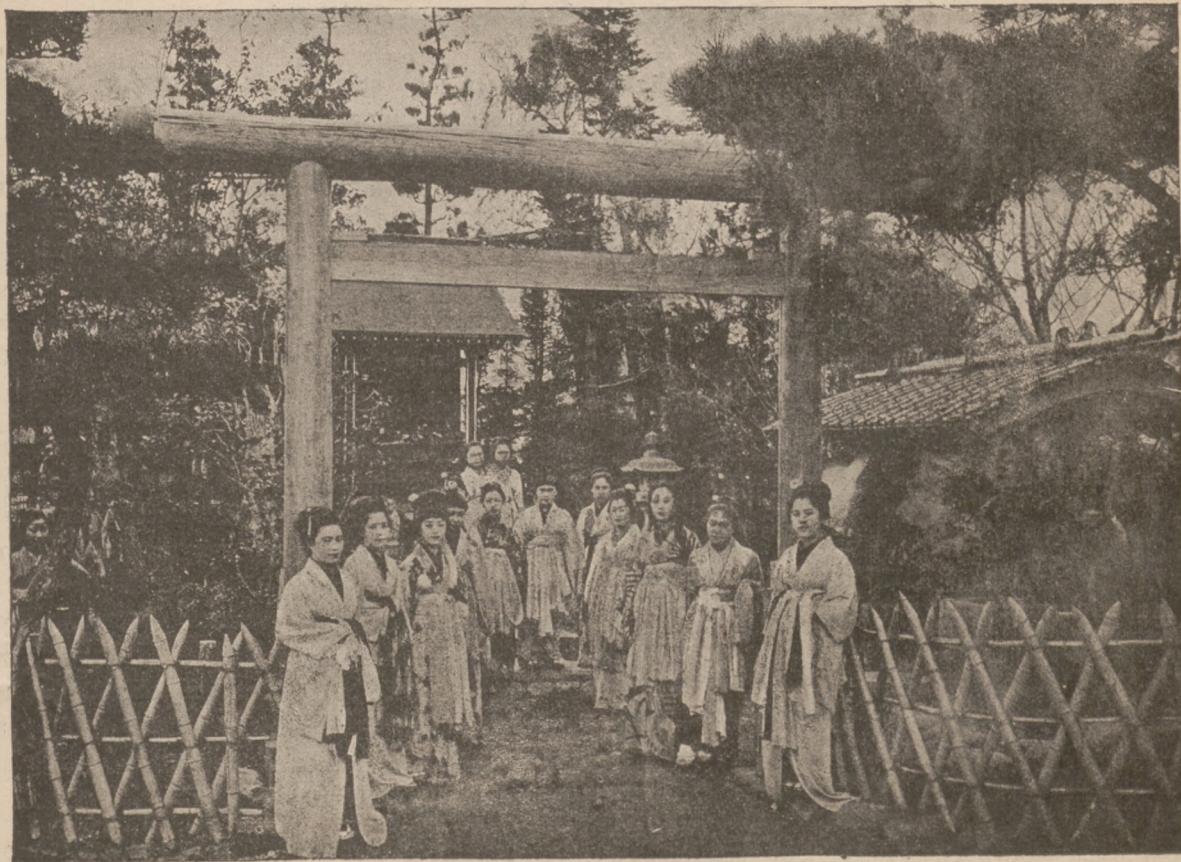
Całe miasto spowite jest w kłęby dymu, zmieszanego z unoszącym się pyłem węglowym, to też twarz czystą spotykamy tu rzadko.

Ossaka w przemyśle słynie z pięknych wyrobów z kości słoniowej, wszelkiego rodzaju odlewów stalowych, żelaznych i poniekąd specjalnie tu wyrabianych rewolwerów, choć one nie noszą cechy doskonałego wykończenia. Jest tu wiele fabryk, wyrabiających przedmioty skórzane, bawełniane, zegary i biżuterję.

Dziwnie się tu łączą z sobą dwa przeciwne prą-

dy: nowożytny postęp z zamiłowaniem dawnych zwyczajów. Wielkie fabryki urządzone są na sposób europejski, ale obok nich spotykamy budy lecznicze, sprzedające: proszek z czaszki ludzkiej, skóry węzowe zachwalane jako leki na różne dolegliwości.

Na ulicach spotykamy obok elegantek japońskich, ubranych wykwintnie, w cylindrach i rękawiczkach, kroczących półnagich wyrobników, poszukujących pracy i chleba.



Wejście do ogrodu publicznego w Ossaka.

Kąpiele śnieżne.

Nie wszystkim zapewne wiadomo, że najzdrowszą dla płuc i błony śluzowej strefą ziemską są polarne krainy wiecznych lodów.

W mroźnych okolicach podbiegunowych ani kataru, ani zapalenia płuc, ani suchoty nie są znane, a mieszkańcy tych okolic, Eskimowie, nie zaziębiają się nigdy.

Fakt ten, niejednokrotnie podnoszony przez podróżników biegunowych, naprowadził duńskiego lekarza, d-ra Eryka Christiansena, na myśl stworzenia nowej metody leczniczej, polegającej na radykalnem hartowaniu ciała przez chodzenie nago po mrozie i kąpiele śnieżne. Dr. Christiansen wypróbował swą metodę przede wszystkim na sobie samym. Hartowanie rozpoczął przez wystawanie zimą w otwartym oknie—przez kilka minut—prawie bez ubrania. Praktykował to przy największych mrozach dwa razy dziennie. Stopniowo zrzucał z siebie resztki ubrania i bielizny i przedłużał coraz bardziej swe postoje w oknie, po których wybiegał na dziedziniec i nie biorąc na siebie żadnego odzienia, biegał przez pewien ściśle określony czas boso po śniegu. Przy tych—nawiasem mówiąc—nader ostrożnych i systematycznych próbach, dr. Christiansen nie zaziębił się ani razu i czuł się coraz bardziej krzepkim i zdrowym.

Dodać trzeba, że od czasu takiego hartowania się

na śniegu i mrozie, dr. Christiansen nie wie, co znać zaziębienia, kataru, kaszel i t. p., a przedtem niemal chronicznie cierpiał był na te przypadłości.

Zupełnie podobnie każe dr. Christiansen postępować swoim pacjentom, bawiącym w jego zakładzie. Przyzwyczajają on ich najpierw bardzo powoli i rozważnie do znoszenia niskiej temperatury. Dopiero gdy pacjent zupełnie już się zahartuje, następuje higieniczna kuracja.

Wyniki tego leczenia mają być nadzwyczajne. Cykulacja krwi nadzwyczajna, trawienie krwi wspaniałe, organizm cały odświeża się i odmładza, siły wzmagają się niepomierne, płuca dyszą zdrowiem.

Zresztą nietylko dr. Christiansen i jego pacjenci żyją wedle tej metody. Są w różnych krajach ludzie, uchodzący za dziwaków, którzy w zimie kąpią się w rzekach i biegają nago po śniegu.

Twierdzą oni, że czynią tak, aby uchronić się od zaziębień, chorób zapalnych i reumatyzmów. Pewna dama w Anglii, niejaku mis Dann, sypia latem i zimą na polu, w hamaku, rano kąpie się w śniegu i cały dzień spędza, prawie bez ubrania, na wolnym powietrzu.

Oczywiście, że metoda ta przy pewnych słabościach (np. anemji i braku krwi) może być zabójcza.

Przyjaźń wśród zwierząt.

Zwierzęta przywiązują się nietylko do człowieka, lecz i w stosunkach między sobą często dają przykłady czulej i pełnej poświęcenia przyjaźni. Używane powszechnie przysłowie: żyją z sobą jak pies z kotem—właściwie jest zdaniem krzywdzącym tych przedstawicieli dwóch gatunków świata zwierzęcego. W rzeczywistości nader rzadko się zdarza, aby pies i kot, należące do jednego pana, żyły z sobą w niezgodzie. Przeciwnie, bardzo często zwierzęta te razem jedzą, śpią, bawią się, a nawet w razie niebezpieczeństwa pies, występuje w obronie swego słabszego przyjaciela.

Czasem nawet się zdarza, że zwierzęta zupełnie odmiennych rodzajów i gatunku przywiązują się do siebie—żyją w takiej przyjaźni i zgodzie, jaką wśród ludzi odmiennych ras i narodów rzadko zdarzy się spotkać.

Pewien miłośnik zwierząt opowiada następujący przykład przyjaźni psa z gęsią: „Znajomy mój, przyjeżdżając na folwark do swoich krewnych, zauważył, że gęś ze złamanym skrzydłem i młody pies owczarski zawsze pozostawali razem, nie rozłączając się prawie z sobą. Zaciekawiony, począł się rozpytywać o przyczynę tego dziwnego faktu. Okazało się, że ów pies, będąc szczeniakiem, rzucił się nieostrożnie na gąsiątka i jednemu z nich złamał skrzydło. Następnie

jednak z jego zachowania się można było wnosić, że nietylko zrozumiał, jaką krzywdę wyrządził gąsięciu, lecz czuł jakby pewne wyrzuty sumienia i starał się ile możliwości złe naprawić. Chorą bowiem gąską zaczął się nader troskliwie opiekować, chociaż innych gęsi nie lubił po dawnemu. Odtąd też między nimi taka wywiązała się przyjaźń, że gdzie pies biegnie, tam i gęś za nim ciągnie, a gdzie gęś skubie trawkę, tam z pewnością i pies gdzieś leży w pobliżu“.

Pewien uczony, który posiadał u siebie rozmaite zwierzęta, przytacza również podobne przykłady, a między innymi wspomina o przyjaźni, jaka istniała między wyżłem angielskim i kogutem. Kogut ten był tak dziwny, że za miejsce swego wypoczynku obrał miękkie grzbiecie swego czworonogiego przyjaciela wyżła. Pod nieobecność ostatniego sadowił się na jednym z kotów domowych.—Zwierzęta te, którym przecież nie mogło sprawiać przyjemności dzwiganie na swym grzbiecie drzemącego koguta, zachowywały się jednak przez ten czas jaknajspokojniej, aby nie przerywać spoczynku swemu przyjacielowi.

Dzieciom w pewnym domu przyniesiono w podarunku ze wsi małe króliki. Zwierzątka te można już było karmić mlekiem, ale ponieważ panowały podówczas chłody, więc słusznie się obawiano, że przywy-

kłe do ciepła w gnieździe, pod przykryciem matki, nie wytrzymają zimna. Ktoś z domowników rzucił myśl, aby je oddać pod opiekę Misia. Miś był to duży, wypasiony kot domowy, który swe legowisko miał w koszu, w pokoju dzieciennym. Ostatecznie zdecydowano się na ten krok, z tem jedaak przeświadczeniem, że kot wkrótce wszystkie króliki pozjada. Tymczasem stało się zupełnie inaczej. Króliki wsadzone do kosza, natychmiast powciskały się pod ciepłe futerko swego opiekuna, a ten zachowywał się z godnością i spoko-

jem niezwykłym... Po pewnym czasie, jakby zrozumiawszy włożony na niego obowiązek, zaczął troskliwie zajmować się królikami: bawił się z niemi, jadł z jednej miski i zanim udały się na spoczynek, wszystkie starannie wylizywał. Taki stan rzeczy trwał parę tygodni. Króliki o tyle podrosły, że musiano je pomieścić oddzielnie, więc i zadanie naszego kota skończyło się na zawsze. Co dziwne to, że przez cały ten czas pocziwemu zwierzęciu nawet nie przyszło do głowy, że mógłby zjeść swoich wychowalców.



W północnej Afryce.

Północne brzegi Afryki znane były od niepamiętnych czasów ludności Europy. Rzeczpospolita Kartagińska, leżąca w teraźniejszym Trypolisi, już na kilkaset lat przed narodzeniem Chrystusa Pana zaliczała się do najbardziej cywilizowanych krajów.

Z czasem jednak zwalczona przez cesarstwo rzymskie Kartagina upadła i północne pobrzeże Afryki zaczęło dziczeć.

Wyjątek stanowił długie lata Egipt i przyległe prowincje, tam jednak, gdzie ciągnie się Tunis dzisiejszy zamilkła wszelka wybitniejsza cywilizacja. Kraj zajęły bandy koczowników.

Dopiero utworzenie państw mahometańskich przy końcu ósmego wieku naszej ery uporządkowało nieco dzikie strony. Wytworzyła się tam swoista cywilizacja, dziwna dla Europejczyka, ale w każdym razie dość znaczna, zwyczaje ludności przybrały określone formy, które bez zmiany prawie dotrwały do naszych czasów.

Podajemy opis jednego z miast tunetańskich wedle listu pewnego podróżnika polskiego.

Na południu Tunetanji leży święty gród muzułmański Keruan.

Miasto odznacza się czysto arabskim charakterem i posiada zaledwie parę domów europejskich. W ciągu całego dnia panuje tutaj absolutna cisza i domy zamknięte są rzetelnie. Dopiero wieczorem cała ludność miasta zalega place i wypełnia kawiarnie, wiodąc rozmowy i grając w szachy.

Osobliwością Keruanu są dwa meczety. Jeden z nich upiękuszony jest kolumnami sprowadzonymi ze zwalisk Kartaginy – i do niego, wyjątkowo, mają dostęp cudzoziemcy. Drugi zaś meczet stoi na grobowcu jednego z przyjaciół Mahometa, który wedle legendy posiadać miał *aż trzy włosy* z brody proroka. W Keruanie znajduje się również klasztor derwiszów mahometańskich „ajseoulów“, których fanatyzm dochodzi do szału. Nabożeństwo ich odbywa się w taki sposób: Na podwórzu ich meczetu siada około trzydziestu mężczyzn, w dwóch rzędach naprzeciwko siebie, śpiewając w takt bębna jeden i ten sam monotony werset koranu. Na sygnał dany przez duchownego, jeden

z nich pokaleczył się szpadą, drugi znów przebija sobie obojczyk, trzeci ranił się w inny sposób, a wszystko ku czci Mahometa. Cudzoziemcom jednak nie wolno asystować nabożeństwu.

Keruan obecnie, dzięki opiece Francji nad Tunisem, rozwija się, prowadzi znaczny handel, słowem staje się ważnym punktem dla ludności beduińskiej, która licznie ściąga na targi.

Ryciny, załączone obok przedstawiają nam rynek keruański i ludność z okolic miasta.



Odjazd karawany.

Eskimowie z blond włosami.

Podróżnik Vilhjalmur Stefansson spędził dwie zimy wśród eskimów, badał ich obyczaje i narzecza; wracał zaś przez kraje nieznane, wzdłuż rzek: Porcupine i Yukon.

Następnie powziął zamiar odnalezienia rasy, która nigdy się nie zetknęła z cywilizacją, zbliżenia się z nią i zbadania jej. Plan ten znalazł uznanie w American Museum of Natural History w nowym Jorku, a Kanada wyraziła chęć współudziału w kosztach wyprawy. Stefansson zgodził się przyjąć za towarzysza podróży słynnego przyrodnika d-ra Andersona.

Podamy niektóre wyniki tej ciekawej wyprawy, opisaną przez Stefanssona w „Magazynie“ Harpera. Nawiasem mówiąc, młody etnograf przeszedł pieszo, w przeciągu pięciu lat około 16000 kilometrów i to przeważnie przez okolice nieznane.

Ku końcowi lata 1905 roku dwaj podróżnicy doszli do ujścia rzeki Mackenzie i w dalszym ciągu zwiedzali wybrzeże północne Alaski. Zimą roku 1909 spędzili wśród plemion strzeleckich eskimów w dolinie Hortonu.

Na wiosnę Stefansson rozstał się z towarzyszem i udał się z trzema tuziemcami w stronę zatoki Koronacji. Podczas tej wyprawy, na którą nie wziął zresztą żadnych zapasów żywności, postanowiwszy żyć z polowania, znalazł się poraz pierwszy w wiosce eskimów, którzy nigdy dotychczas nie widzieli człowieka białego i dowiedział się od nich o istnieniu ich pobratymców o cerze jasnej. W towarzystwie jednego z mieszkańców miejscowych dotarł do przylądka Bexley, gdzie znalazł pierwsze obozowisko tego szczególnego szczepu.

W kwietniu 1910 roku Stefansson wybrał się na wschód przylądka Parry, zaopatrzony w żywność na dwa tygodnie z trzema eskimami, pięciu psami, saniami i bronią. Do tej pory napróżno szukał przez dwa lata plemienia, któreby się jeszcze nie zetknęło ze światem zewnętrznym. Zapuszczał się obecnie w okolicę, w której nieliczni podróżnicy nie spotkali dotychczas śladów mieszkań ludzkich.

Po dziewiętnastu dniach wędrówki znalazł wreszcie ślady pozostawione przez sanie, a następnie wyludnioną wioskę, złożoną z kilkudziesięciu szałasów. W sześć dni później weszli do drugiej wsi, również pustej, gdzie jednak spotkał trzech tuziemców, czatujących na foki. Byli to właśnie członkowie tak poszukiwanego plemienia; słyszeli oni o ludziach białych, lecz dotychczas nie zetknęli się jeszcze z ich cywilizacją. Nie znali zapalek, ni broni palnej.

Stefansson polecił jednemu z eskimosów, aby się zapoznał ze strzelcem fok.

Siedząc przy otworze, zrobionym w lodzie, ów strzelec udawał przez chwilę, że nie widzi przybysza, lecz jednocześnie rzucał na niego badawcze spojrzenia. Wreszcie zerwał się na równe nogi, gotowy od skoku, z nożem w ręku. Nie uderzył jednak, stał da-

lej, jak skamieniały, a jednocześnie śpiewał gardlanym głosem, bez otwierania ust, jakąś monotonną pieśń. Okazało się później, że myślał, iż ma przed oczami widziadło, pochodzące ze świata zaludnionego przez złe duchy. Otóż według jego wierzeń kto zaniedba wydać choćby jeden dźwięk za każdym odetchnięciem, naraża się na pomieszanie zmysłów.

Przez kwadrans śpiewał z nożem wzniesionym w górę, wreszcie odpowiedział na pytania przybyłego eskima i wkrótce okazało się, że mówią tak podobnym narzeczem, iż porozumieć się mogli. Dziki krajowiec przedewszystkiem dokładnie obszukał przybysza, żeby się przekonać, czy nie jest on duchem lub też czy pod odzieżą nie ukrywa noża. W końcu obiecał zaprowadzić go do wsi, lecz pod warunkiem, że jego towarzysze pozostaną w tyle.

Gdy się zbliżali do owej wsi, miejscowy ludek w liczbie 50 osób wiedział już o przybyszach; mocno podnieceni wybiegli wszyscy przed swoje chaty ze śniegu. Ziomek czempredziej uspokoił ich zapewnieniem, że przybywający są ludźmi uczciwymi bez noży i natychmiast, kto żył, wybiegł na ich spotkanie. Witając się, wszyscy po kolei przedstawili się ze słowami: Jestem taki to a taki, jestem ci życzliwy i nie mam noża. Kto ty josteś?

Podróżni odpowiadali na pytania, zapewniając jednocześnie, że noże pozostawili w saniach i uroczystości wkraczali do wsi, gdy jednocześnie kobiety miejscowe, również się przedstawiały, pospieszały do swych chat zgotować przyjęcie. Mężczyźni zaś, gdy już zostało wybrane miejsce na rozłożenie obozu, polecili swym synom zbudować chaty, a w robocie tej uczestniczyć wolno było tylko miejscowym. Gdy już wysłali owe chatki skórą, wyrazili życzenie, aby ich goście pozostali z nimi jak najdłużej, gdyż jak mówili, obecność ich jest uroczystym świętem dla całego plemienia. Nie ruszą się z domów, nie wyjdą na polowanie, dopóki dzieci z głodu nie zapłaczą, po raz pierwszy bowiem przyjmują cudzoziemców przybyłych ze stron tak odległych, że nawet nigdy nie słyszeli o ich kraju rodzinnym.

Nieprędko jednak zrozumieli, że Stefansson był „kablunatem“, przedstawicielem ludzi białych, o których mieli niejakie pojęcie za pośrednictwem plemion bardziej na wschód osiadłych.

— Jakże mogliśmy się tego domyślać—rzekli—kiedy na północy mamy sąsiadów o jasnych włosach i niebieskich oczach, takich, jak wasze.

Po raz pierwszy zatem europejczyk dowiedział się o istnieniu eskimów o jasnych włosach i niebieskich oczach. Jasne jest, że Stefanssonowi zależało na prędkim sprawdzeniu tej wieści i zaraz nazajutrz wybrał się w drogę w towarzystwie jednego eskima, który podjął się go zaprowadzić do pierwszej wioski hanzagmiutów. Po upływie doby dotarli do paru domków ze śniegu, zbudowanych na zamrożonym morzu

w odległości mniej więcej dziesięciu metrów od wybrzeża Ziemi Wiktorji.

Po pewnych przygotowawczych krokach ze strony przybyłego eskima, uwiązaniu psów i t. p. Stefansson wszedł do owej wioski. Dziewięciu mężczyzn, zamieszkujących ją, wyszło na powitanie z rękami wzniesionymi w górę i w serdecznych wyrazach objawili radość z przybycia gości. Następnie w sposób bardzo ceremonialny obie strony przedstawiły się sobie wzajemnie i znów nadzwyczaj gościnnie zaproszono podróżnych do chaty, dla nich zbudowanej i do uczty złożonej „z zupy z krwi fok” i z gotowanego mięsa foki.

Otóż wśród tych dziewięciu mężczyzn Stefansson znalazł trzech, których włosy i cera zbliżone były do barwy jego włosów i cery. Można ich było wziąć ¹/₄ pisze on — za dobrze zbudowanych skandynawczyków o twarzy opalanej.

Nie zadowolnił się jednak tem pierwszym spotkaniem, pozostał przeszło rok z mieszkańcami Wiktorji, badał ich zwyczaje, przyglądał im się, stwierdził, że kilku miało jasne niebieskie oczy, ciemniejsze włosy z odcieniem rudawym, a niekiedy brwi bardzo jasne. Niektórzy mieli włosy kędzierzawe.

Szczegóły te dowodziłyby, że mieszkańcy Wiktorji, pomimo, że mają język podobny do języka eskimów i zwyczaje te same, co oni, innego są pochodzenia, gdyż eskimowie mają włosy czarne i gładkie, wzrostu są średniego.

Chcąc pojąć znaczenie historyczne i etnograficzne odkrycia Stefanssona, należy zajrzeć do historii Skandynawji. Otoż wiadomo, że mieszkańcy Norwegji zakładali kolonje na wybrzeżach Islandji już w r. 872. Wkrótce potem pewien żeglarz islandzki Gunnbjorn, dostrzegł nieznane wyspy na zachód od Islandji. W roku 982 Eryk Czerwony, awanturnik wygnany z Norwegji za zbrodnie, zamieszkał w Islandji, ale po nowych morderstwach zmuszony był do ucieczki. Udał się w kierunku wskazanym przez Gunnbjorna, odkrył tak zwane przez niego Południe Grenlandji i wrócił do Islandji, żeby zorganizować wyprawę w te strony. W następnym roku 25 okrętów popłynęło w stronę Grenlandji, ale 14 tylko ze szczęśliwym skutkiem. Kroniki skandynawskie donoszą, że młoda kolonja, która się wtedy utworzyła, w krótkim przeciągu czasu zorganizowała się, wprowadziła korzystny handel zamienny z ziemią ojczyzną, wysyłając kość słoniową, skóry, olej i produkty rolne. Syn Eryka Czerwonego, Leifr Eriksson, roku 1000 odkrył Lablador. W XIII wieku mieszkańcy Grenlandji założyli rodzaj towarzystwa żeglarskiego. Statki ich przewoziły drzewo z Labladoru do Islandji, a zabierały wyroby rękodzielnicze. Jednak już pod koniec tego samego stulecia, gdy jedna z firm norweskich zmonopolizowała w swych rękach handel z Grenlandją, rozpoczął się upadek kraju. W pięćdziesiąt lat później eskimowie zaczęli napadami swymi niszczyć państewko, wreszcie dzuma i wojna Norwegji z Ligą Hanzeatycką tak wpłynęły na zerwanie stosunków z Islandją i Norwegją, że w XVI w. istniały już tylko wsie eskimów.

Co się stało z osadnikami? Czy ich wytracono? czy wskutek małżeństw złączyli się ze szczepem eskimów, czy przeszli dalej na zachód? Stefansson skłania się do tego ostatniego przypuszczenia; możebna jest w takim razie, że emigranci uchodząc przed eskimami z Grenlandji, musieli się również bronić przed nimi w Labradorze, przeszli na zachód, później na północ w poszukiwaniu okolic niezamieszkanymi. Obszerna ziemia Wiktorji, posiadająca bogatą stosunkowo faunę, byłaby kresem tej wędrówki. Stefansson zbyt jest ostrożnym badaczem, aby uważać to za fakt niezbity.

Telefon kieszonkowy.

Telefon — ów wynalazek tak niesłychanie pożyteczny — posiadał, jak dotąd, jedną poważną niedogodność: jeżeli ktoś, znajdując się w mieście lub na wsi, chciał natychmiast zawiadomić telefonicznie osobę prywatną lub instytucję publiczną, musiał szukać telefonu w sklepie, cukierni, mieszkaniu — a na szosie lub drodze miejskiej czuł się wprost odcięty od szybkiego skomunikowania się z ludźmi. Niedogodność ta wkrótce zostanie usunięta, dzięki świeżo wynalezionemu telefonowi kieszonkowemu.

Jestto maleńki aparat umieszczony w pudełku niklowem o 6 cent. średnicy, 2 cent. wysokości, 200 gramach wagi.

Telefon ów oddać może nieocenione usługi. Samo posiadanie jednak owego aparaciku nie wystarcza — chcąc się nim posługiwać trzeba go połączyć z publiczną siecią telefoniczną. W tym celu przyczepia się małe aparaty-kontakty, w pewnej odległości jeden od drugiego, do parkanów, murów, w dziedzińcach domów, mieszkaniach prywatnych; na wsi zaś do drzew, i t. p., zabezpieczając je naturalnie w odpowiedni sposób przed zmiennością pogody i wandalizmem niekulturalnych ludzi.

Przy podobnem urządzeniu można będzie z łatwością telefonować gdziekolwiek się będzie, tak jak dziś odnosi się i wrzuca listy do skrzynki pocztowej. W oznaczonych miejscach znajdować się będą aparaty-kontakty, do których się przytknie aparacik kieszonkowy, który, po zwykłych wstępach, zacznie działać. Na zarzut, jaki postawić można, że przechodni mogą być nieproszonymi świadkami rozmowy wynalazca zapewnia, że aparacik tak bardzo jest czuły, że mówić można półgłosem.

Telefon kieszonkowy bardzo się okaże przydatnym dla każdego nawet osobnika, a już wprost nieocenionym będzie w życiu społecznym; w wypadkach nagłej pomocy, alarmu straży ogniowej i t. d., kiedy chwila nieraz stanowi o wszystkim.

Znajdą się napewno artyści, którzy zechcą nadać metalowemu pudełku wygląd wykwintnego, artystycznego cacka, które nawet wybredne gusta damskie zaspokoić będą zdolne, tak że i panie w kieszonkach telefonik zapewne mieć będą.

KAP. BRERETON.

Tajemniczy samolot

Przeł. z ang.
M. G.

34)

— Na nic się nie zda uciekać! — szepnął Harvey. Proponuję co innego, panie Teodorze!

— Niech karzeł zawróci na prawo i przetnie drogę, którą oni się posuwają. O dwadzieścia kroków od karła, niech stanie Ted — potem ja — a pan na końcu.

Nastąpię umyślnie na jaką suchą gałąź i hałasem ściągnę ich w tę stronę.

A potem co? — zapytał pan Teodor.

— Pokładziemy się na ziemi, a gdy już oni zaczną strzelać, Ted i pan postaracie się zająć im od tyłu i... my zaczniemy kanonadę — dokończył Harvey.

— Ale gdy ich ściągniesz hałasem w swoją stronę, wystawisz się na ich strzały? — zrobił uwagę pan Teodor.

— No, tak! — odrzekł z prostotą Harvey. Ale ktoś musi to uczynić. Zasłonią mnie zresztą drzewa i... może szczęście.

— Niechże i tak będzie! — odrzekł pan Teodor. Powiem zaraz karłowi...

Udało im się wykonać cały manewr, bez zwrócenia uwagi wrogów, którzy idąc, robili sporo hałasu. Harvey miarkując że już są niedaleko, podniósł z ziemi suchą gałąź i złamał ją na kolanie... Jak na dane hasło padł strzał z głębi cichego lasu i kula otarła się o brzeg kapelusza Harveya, odrywając z niego strzępek pilśni.

— Niechże go — odszepnął Harvey, zmieszany cokolwiek — celnie strzela, ale nie on jeden taki na świecie!

Huknął strzał drugi i to tak blisko, że blask oślepił na chwilę Harveya. Ale w tym blasku mignęła mu wśród zarośli twarz, z błyszczącymi dziko oczyma. Harvey machinalnie podniósł rewolwer i nie celując wystrzelił w stronę tej twarzy, a przeraźliwy krzyk jaki mu odpowiedział, był dowodem, że nabój nie poszedł na marne.

— Uf! — odetchnął Harvey, mając zimny pot na czole. Trafiłem...

Na przeraźliwe krzyki rannego, dowódca z czarną brodą odpowiedział srogo:

— Milcz! — Ogłuszasz nas, a tymczasem ptaszki ujdą. Milcz! Mówię ci!

Ale ranny nie przestawał krzyczeć i jęczeć, aż Harveyowi — który wiedział że to jego dzieło — krew w żyłach krzepła. Mężny kanadyjczyk nienawidził samej myśli, że komuś sprawił cierpienie...

— Sam chciał tego! — uspokajał się w duchu. Miał szczerzy zamiar utracić mi głowę — dodał macając obdarty przez kulę brzeg kapelusza.

Ranny nie przestawał jęczeć i zawodzić, ale wnet rozległ się odgłos ciężkich uderzeń tam, skąd dochodziły jęki.

— Masz! — syknął głos przywódcy. Może cię to uspokoi, a jeśli ci mało to dodam zaraz więcej!

Jeszcze jedno uderzenie, i krzyki zamieniły się w ciche, przyduszone jęki. Ale Harvey, kierując się

odgłosem uderzeń, wymierzył i posłał na oślep kulę w tamtą stronę. Rozległ się syk bólu i trzask zarośli, a jednocześnie z prawej strony Harveya strzelił pan Teodor — z lewej Ted. Napastnicy zaskoczeni zniechęceni zaczęli się nawoływać i w mgnieniu oka rzucili się do ucieczki, unosząc ze sobą rannego towarzysza i przywódcę...

— Popamiętają nas — wyrzekł pan Teodor — złe było już z nami i gdyby nie to szczęście, na jakie Harvey zawsze liczy, kto wie, na czymby się było skończyło... Udało ci się mój chłopcze!

— Zwłaszcza drugi strzał — odrzekł Harvey — zdaje się że trafiłem samego przywódcę, tego z czarną brodą... Ale nie czekajmy dłużej i wracajmy do budy...

— Do jakiej „budy”? — zagadnął pan Teodor.

— Do naszego *Upiora*, którego rany opatruje Jerzy — objaśnił Harvey. Pan Teodor jęknął. Wiadomość o uszkodzeniu *Upiora* była dla niego zupełną nowością...

— Uszkodzony? Czy maszynierja...

— Był uszkodzony — odrzekł żywo Harvey — ale Jerzy nadział swój niebieski *overall**) i poszedł opatrywać rany *Upiora*, które go wytrąciły z równowagi. Gadał nam coś że trzy płyty na przedniej części są oderwane i że dziura się zrobiła w kanale dostarczającym powietrze... Mam nadzieję że Jerzemu udało się naprawa tak jak nam nasza wycieczka...

— A Terencjusz gdzie?

— Zabity. Padł trupem na miejscu... Szkoda chłopaka...

I westchnął żałośnie. Odpowiedziało mu głębokie westchnienie pana Teodora. Umilkli wszyscy, wzruszeni głęboko, ale przerwał milczenie pan Teodor:

— Zobaczmy czy Jerzemu rzeczywiście udało się — wyrzekł, wysilając się na spokój, choć mu głos drżał. Biedny Terencjusz... Zapłacą mi za niego ci niegodziwcy; nie ruszę się stąd, dopóki nie załatwię z nimi rachunku za tego biedaka! Chodźmy!

Harvey nie wiedział jeszcze, jakie szkody sprawiła zapalka, którą pan Teodor podpalił namioty i składy portugalczyków, ale i bez tego, miał powody do radości, że udało mu się tak cudownie wyrwać przyjaciela z rąk zbrodniarzy. Szli więc zwawo, karzeł biegł na czele pochodu, w podskokach, nie stropiony bynajmniej ciemnością. Nad ranem dostali się już na skraj lasu i tam pan Teodor dał znak by się zatrzymali.

— Przekonajmy się nasamprzód, czy droga bezpieczna, a potem pójdziemy już śmiało do samolotu...

Byli jeszcze o jakieś ćwierć mili od końca lasu, gdy dzień zaświtał — odrazu, jak zwykle w podzwrotni-

*) Tak w Anglii i w Ameryce nazywa się luźne ubranie, które nie tylko robotnicy ale i inżynierowie, nakładają, dla oszczędzenia odzieży podczas pracy. (Przyp. tłum.).

kowych krajach. Ale jednocześnie ze światłem dniem, *Upiór* także wzbił się w niebo i popłynął wysoko nad lasami. Lecz Jerzy i Sing Loo, daremnie wypatrywali oczy, szukając umówionego znaku barwistej koszuli Harveya, powiewającej na jakimś widocznym miejscu. Skutkiem tego, gdy pan Teodor ze swymi towarzyszami wydobył się z gęstwiny leśnej na odkrytą przestrzeń, nie było już ani śladu *Upiora* na niebie, ani śladu ludzkich istot na ziemi.

— Odlecieli! — zawołał Ted, a twarz mu się wyciągnęła.

— Znikli bez śladu! — syknął Harvey. Może Jerzy wyprawił się na poszukiwania?..

— Albo może...

Spojrzeni po sobie, nie śmiąc wyrazić słowami, przerażającego przypuszczenia.

— Albo może — dokończył za nich pan Teodor — ci zbredniarze zdążyli tu w porę i...

— Nigdy! — wykrzyknął zapalczywie Harvey — Jerzy miałby odlecieć z nimi? Nigdy! Jerzy nie zdradziłby swoich przyjaciół, nawet pod lufą rewolweru... Jakbym widział i słyszał, z jaką miną im mówił: „Nie ze mną uda się taka sztuka”.

Harvey tak doskonale naśladował głos, ruchy i wyraz twarzy Jerzego, że wszyscy roześmieli się mimowoli.

— I ja także mam niezachwianą wiarę w Jerzego — przemówił pan Teodor. Dał nam już dowody że ma charakter... Ale teraz...

— Chodźmy do jaskini, z której padł strzał armatni — przerwał żywo Harvey. Będziemy tam bezpieczni, a koszulę możemy zawiesić na skałach nad jaskinią. Jeżeli Jerzy jest niedaleko, zobaczy ją na pewno.

Wyszli na polankę i skierowali się do jaskini, gdzie stała armatka, niewielka, lecz zdolna do wyrządzenia wielkich szkód, o czym się już boleśnie przekonali. Ale prócz armatki, coś więcej jeszcze było w ciemnościach jaskini... W mrocznej jej głębi krył się ktoś — czy coś... Ted, wchodząc pierwszy usłyszał szcęk metalu...

— Stójcie! — krzyknął cofając się — tam jest ktoś, może strzeli zaraz...

Lecz zamiast obiecywanej kuli, wysunęła się z otworu jaskini głowa, oszpecona i zmieniona do niepoznania, bo wielkie płaty skrzepłej krwi, pokrywały potargane włosy. Z pod tych włosów wyzierała twarz, wychudzona, pobladła — lecz dobrze im znana: twarz Terencjusza! Wyczołgawszy się z trudem, jęknął i zemdłał.

— Trochę brandy i jedzenia, postawi go na nogi! — zawołał praktyczny Ted, rozpinając śpiesznie tornister. Musi on umierać z głodu...

Dźwignęli irlandczyka, który z wysiłkiem otworzył oczy, próbując się uśmiechnąć i napił się z podanej faszki. Otrzeźwiony zabrał się do jedzenia. Pokrzepiwszy się trochę zaczął opowiadać swoje dzieje.

— Tom się zadziwił! Kiedym oprzytomniał, ciemno już było, ani żywej duszy naokoło! Ni swoich, ni wrogów... A głowa... oj! jak boli.

Podniósł ręce do głowy i jęknął, ale wnet się opanował i zdobył na uśmiech.

— Ani żywej duszy — powtórzył, ani kropli wody — ani kawałka chleba... Żadny kraj, do któregośmy się dostali!.. Dźwignąłem się z ziemi i rozejrzałem, a kiedy zobaczyłem jaskinię, mówię sobie: „W sam raz dla ciebie, Terencjuszu”. Popęzałem na czworakach, choć nie jestem pies, ale irlandczyk. Lecz komu bieda dokucza, ten nie grymasi, a że mnie dokuczyła, więc nie miałem wyboru...

— A samolot? — zagadnął Ted niespokojnie. Czy jest jeszcze w tych stronach?

— To samo pytanie ja sobie zadawałem panowie — odrzekł Terencjusz. Ale dopiero dziś rano, mignął mi się zdaleka na wierzchołku góry, zakołysał się i odleciał.

— A czy na pokładzie był Jerzy? — zapytał blady jak śmierć pan Teodor.

— Tego to już nie wiem. Widziałem tylko że samolot, zanim frunął, kołysał się długo na tem samem miejscu, jakby czegoś upatrywał...

— To nie wyjaśnia jeszcze wątpliwości, kto nim kierował. Zawieś na widocznym miejscu koszulę — zwrócił się do Harveya pan Teodor — i... czekajmy. Jeżeli to Jerzy prowadzi *Upiora*, napewno tu powróci.

Harvey wspiął się na drzewo ze złamanym wierzchołkiem stojące w pobliżu i rozpiął na niem swą jaskrawą koszulę. Powróciwszy na ziemię zabrał się do rozpakowania zapasów i gorliwie jął zmiatać co było pod ręką. Po skończonym posiłku, usiedli wszyscy, wznosząc w niebo utęsknione oczy, lecz mijały godziny a samolot się nie zjawiał. Co się z nim stało? Czy jakaś nowa klęska zagraża nieszczęśliwym rozbitkom?

XVIII.

K L Ę S K A.

Już po krótkotrwałym mroku podzwrotnikowym zapadała noc, kiedy na niebie zamajaczył szary punkcik.

— Jerzy! — zawołał Harvey.

Wspiął się na drzewo, pochwycił koszulę i wywijał nią w powietrzu, by zwrócić uwagę samolotu.

— Oni! nareszcie oni! — wołał pan Teodor. Za ciemno już, by zobaczyli koszulę... Trzeba rozpalić ogień na sygnal... Prędko! bo mogą odlecieć!..

Zabrali się z pośpiechem do zbierania suchych gałęzi i w mgnieniu oka podpalili. Ale bystre oczy pana Teodora dojrzały, mimo mroku, że z samolotem dzieje się coś złego. Zwrócił na to uwagę towarzyszków.

— *Upiór* kołysze się w jakiś dziwny sposób... Widzicie? Wygląda tak, jakby miał wyrzucić koziołka... Musi w nim być coś uszkodzonego i ster słabo działa... O! teraz znowu lot słabnie...



Czy lubisz przyjaciółko choinkę? pyta mnie *Lilipucik*.

Ach, bardzo, bardzo, chłopaczku mój, lubię to tradycyjne drzewko Bożego Narodzenia, i nie wyobrażam sobie bez niego świąt. Nie lubię tylko, jeżeli zbyt przeładowane świecidlami orzechami, a już smutkiem i nie miłym uczuciem mię przejmują, jeśli ozdoby te są pochodzenia obcego, nie zaś nasze, swojskie, polskie, jak być powinno. Na szczęście, bardzo mało już się spotyka drzewek, przystrojonych w cacka wyrobu obcego, gdyż młodzież nasza i dżi-tma coraz lepiej pojmuje społeczne i obywatelskie swe obowiązki, coraz bardziej kocha swą narodowość.

Nie wątpię, że i twoja choinka, Lilipuciku, będzie właśnie taka, jak być powinna, to jest polską, przybraną w ozdoby, wykonane przez ręce polskie, nasze. Takie tylko takie drzewko może cię radować i sprawiać przyjemność—prawda?

Dobrym jesteś chłopaczkiem, kiedy tak pamiętasz o wszystkich i każdemu gotujesz miłą niespodziankę, tylko bądź ostrożny, bo jak będziesz zapominał o schowaniu, to wszyscy podowiadują się zawczasu i nie będzie już niespodzianki.

Co, *Figo* naprawdę, taką piękną lalkę dostałaś? Wyobrażam sobie, jak musisz cieszyć się z tej ślicznotki i pewnie, jako dobra mamusia przygotowywasz dla swej córki na gwiazdkę koszulki, bieliznę i garderobę własnymi rączkami uszytą?

Ale, panienko, choć pożytecznie jest uczyć się obcych języków—trzeba przede wszystkim znać dobrze język ojczysty; a któż to, pisze róża przez u, rzeka przez ż? Na przyszłość będzie lepiej, prawda kochanie? Tymczasem daj buziaka.

Różyczka polska! W każdą środę bywam w redakcji „Wieczorów“ między 4—5 popołudniu poznać się więc bardzo łatwo możemy, a ja ogromnie tego pragnę. Oczekując więc miłego spotkania, zasyłam memu kwiatuskowi serdeczne uściśnienia.

Zupełnie wierzę i rozumiem was, drodzy moi przyjaciele *Zbyszku* i *Wiesiu*. To też na obczyźnie, dokąd zagnały nas losy, uważajcie się tylko za gości i wiedźcie, że prawdziwie szczęśliwym może być człowiek jedynie na swej ziemi i pomiędzy swoimi, że ziemia nasza bardzo potrzebuje pracowników w każdej dziedzinie, że na wasz powrót liczy i czeka z tęsknotą, że wracając powita, jako wiernych i kochających ją synów.

Cieszę się bardzo, że pomimo kształcenia się w obcym języku, pomimo ciągłego przebywania wśród cudzoziemców, językiem ojczystym władacie poprawnie, a liczne pisma polskie, które prenumerujecie są najmiłą naszą rozrywką, „bo mówią o kraju“.

Nie trąpcie się wszakże, zaci chłopcy, myślą, że pobyt w obczyźnie to krzywda dla nas. Tak wcale nie jest, gdyż człowiek mądry ze złego nawet korzyść wyniesie. I wy, patrząc na wszystkie zalety i dobre strony narodu, wśród którego żyjecie, przyswajajcie je sobie, uczcie się od nich wszystkiego, co uważacie za dobre i pożyteczne, omijajcie, co złe i niestosowne, aby później w życiu własnym i po powrocie do kraju stosować to, co może być korzyścią, bądź umysłową, bądź materialną dla waszych ziomeków. Za życzenia świąteczne dziękuję wam z duszy i nawzajem zasyłam: „Szczęść Boże“!

I *Ali* kochanej ślicznie dziękuję za pocciwy listy, a jeszcze więcej za ucieśnienie mi tak pięknymi projektami, bo że zamienią się owe w czyn, jestem pewna, znając twój charakter i pracowitość.

Masz zupełną rację, że niewiele cię zmartwił nieudany występ w teatrze amatorskim. Takie rzeczy należą do drobiazgów i przejmować się nimi niewarta. „Ot większa szkoda,—piszesz— że zabawa nasza nie poniosła ubogim tyle dochodu, ile oczekiwaliśmy“.

A ja, za te rozsądne i pocciwe słowa całuję cię bardzo mocno i serdecznie się łamię z tobą przyslanym opłatkiem.

Droga *Maryś*! nie mogę odpowiadać prędzej, jak pokolei, i korespondenci moi, chcąc nie chcąc, pogodzić się muszą. Fotografję za którą bardzo dziękuję otrzymałam, ale dopiero w tym liście, na który niniejszym odpowiadam, list więc poprzedni z fotografją musiał zagać.

Czynne prowadzisz życie, co bardzo mi się podobają, szkoda tylko, że słabe zdrowie staje ci na przeszkodzie w oddaniu się tak pięknemu zawodowi. To też, *Maryś* kochana, staraj się chociaż robić tyle, ile jest w twej możliwości; pomyśl tylko, że dzieci, o jakich wspominasz jest w naszym kraju setki tysięcy... jakież więc to przeolbrzymie pole do uprawy! Nie poprzestaj na tej sierotce, niech to dziecię będzie ci zachętą do dalszej i szerokiej działalności w tym kierunku. Zasyłam ci serdeczne ucałowanie od siebie i *Halinki*, *Tolusiowi* również mocnego całuska.

Nie wątpię wcale, droga *Smieszko*, że wyrośnie z ciebie Polka o prawym, silnym charakterze, nie trzeba się tylko zbyt poddawać przelotnym wrażeniom, tak dodatnim, jak i ujemnym, gdyż one osłabiają wolę. Więcej wewnętrznego spokoju, więcej ciszy i ufności w Bogu! tego całem sercem życzę ci, dziewczę me ukochane.

W zupełności dzielam radość twoją z poznania wymienionych osób, bo też zasługują one na sympatię i uczucia, jakimi ja darzysz i mam niepłonną nadzieję, że przyjaźń wasza będzie wzajemnym bodźcem do postępowania na drodze doskonałości. Nie potrzebnie pytasz mię, czy przyjmę do swej gromadki *Felę*:—wszakże ja zawsze z radością witam każdą nową znajomą, a tęsknię gdy długo, od której z was nie mam listu—jakżeby więc nie miała się cieszyć z przybycia *Feli*?

Piękne bardzo są uroczystości, o których wspominasz i wzruszenie twoje rozumiem doskonale, gdyż sama mu w podobnych chwilach ulegam. A czy wiesz, że były one w bardzo wielu miejscach urządzone?

Halinka Smieszko pamięta i czeka fotografji, żeby lepiej ją poznać, tymczasem wraz ze mną zasyła ci najserdeczniejsze uściśnienia; *Tadzio* dziękuje za pamięć, a imię, o które ci się rozchodzi: „*Stefania*“.

Ładne było zachowanie się twoje, *Kochająca*, serdecznym darzę cię za nie uściśkiem. Pamiętając wszakże, iż w przyszłości życie będzie od ciebie, jak i od każdego, wymagało czynów i z czynów będziemy musieli zdać rachunek—efekty, choćby najpiękniejsze czynów nie zastąpią. Do rady księdza zastosujcie się, pożyteczną dla was bowiem jest pod każdym względem.

Przyjaźń, z której się tak cieszysz, droga moja dziewczeczko, cieszy i mnie, nie smuć się więc, ani oskarżaj zbyt, kochanie, bo napewno bądźiesz coraz lepszą, dostojniejszą duchem i umysłem, gdyż przyjaźń dobra, przyjaźń po Bożemu pojmowana podnosi nas, uszlachetnia.

Bardzo długie i serdeczne ucałowania *Kochającej* mej łączę

Przyjaciółka.



WIADOMOŚĆ AMERYKAŃSKA.

Ameryce mieszka człowiek tak wysoki, że gdy przebiegł nogi 15 września, dopiero 1 października dostał kataru.

PILNY UCZEŃ.

- Tatku, da mi tatko na cukierki?
- A za co, synku?
- Dziś dostałem w szkole czwórke...
- Czy tak? Z jakiego przedmiotu?
- Z czterech. Od czterech profesorów po palce...

POZNAŁ ODRAZU.

- Proszę jaśnie pana, przyszedł taki, co ma bzika.
- Skądś tak poznał odrazu?
- A bo powiada, że ojciec jego był winien jaśnie panu 1000 rubli bez kwitu, tera umarł, a on pieniądze odnosi.

SAMARYTANIN W AUTOMOBILU.

„Janie znowuśmy przejechali jakąś staruszkę. Rzucić jej apteczkę podróżną. Nie można tak ludzi zostawiać bez pomocy.“

- 1) Serbja
- 2) Tokjo
- 3) Azja
- 4) Nigier
- 5) Indyjski
- 6) Skandynawski
- 7) Łomża
- 8) Alpy
- 9) Wilno
- 10) Marmara
- 11) Onega
- 12) Niemen
- 13) Indostan
- 14) Uraleskie
- 15) Sztokholm
- 16) Zolja
- 17) Karpaty
- 18) Ob

Rozwiązanie zagadki zamieszczonej w N-r. 50

BRZOZA.

Rozwiązanie łam. arytmetycz. zam. w N-r. 49.

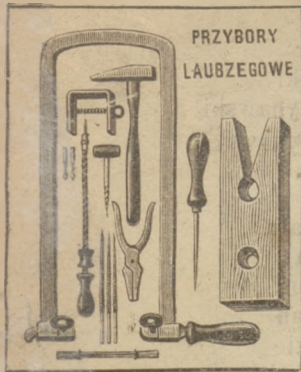
GEŚI BYŁO 30, CIELĄT 20.



Policjant pruski do oficera:

„U nas może pan bić ludzi ile mu się podoba, bo to są tylko polacy“.

Na gwiazdkę!!



Komplety narzędzi
stolarskich, laubzegowych i różnych, dla
dzieci i amatorów.

ŁYŻWY

Hantle sprężynowe SANDOWA
z rysunkami i opisem ćwiczeń gimnasty-
cznych systemu Sandowa.

Wrotki „Richardsona”

polecają:

Krzysztof Brun & Syn

w Warszawie, plac Teatralny

Cenniki na żądanie franko, bezpłatnie.

Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa.

Nowości gwiazdkowe

dla dzieci i młodzieży.

- Conan Doyle. Świat zaginiony.** Powieść fantastyczna. Z 12-u ilustracyami. Karton 1.60, w ozd. oprawie 2 00
- Jadwiga Chrzęszczewska i Jadwiga Warnkówna. Z biegiem Wisły.** Obrazki i opowiadania o kraju. Z 221 rysunkami w tekście i 4 mapami. Wydanie 3-cie. Rb. 1.35, karton rb. 1.50, w ozd. oprawie 2. —
- Wiktor Gomulicki. Wspomnienia niebieskiego mundurka.** Z 6 rysunkami K. Gorskiego. Wydanie 2-je. Karton 1.20, w ozd. oprawie 1 50
- Marya Konopnicka. Na jagody.** Książeczka leśna. Z kolorowymi ilustracyami i w pięknej kolorowej okładce kartonowej rb. 2 —
- KSIĄŻKI OBRAZKOWE DLA MAŁYCH DZIECI:** a) **Dzieci i rzeczy** 30 kop.; b) **Nasze kochane zwierzątka** 30 kop.
- Przygody żaka.** Z powieści J. I. Kraszewskiego „Zygmuntowskie czasy” przerobił dla młodzieży i wstępny wierszem opatrzył Or-Ot. Z 10-a rysunkami St. Ligonia. Karton rb. 1.50, w ozd. opr. —
- Władysław Umiński. Krzyż i półksiężyc.** Powieść na tle ostatniej wojny bałkańskiej. Z 12-a rysunkami E. Lindemana. Karton rb. 2.— w ozd. opr. rb. 2 30
- Jadwiga Warnkówna. Pieśń poranna.** Opowiadania na tle przyrodniczym dla dzieci do lat 8-10. Z licznymi ilustracyami w tekście. Wydanie nowe. Karton rb. 1.20 w ozd. opr. rb. 1 60
- Marya Werycho. Co słonko widziało.** 35 powiastki dla małych dzieci z 30 rysunkami K. Gorskiego. Karton rb. 1 —
- Eugenja Żmijewska. Skauci.** Powieść współczesna. Z 6 rysunkami St. Ligonia. Karton rb. 1.50 w ozd. opr. 1 80

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

W Lublinie
„Wieczory Rodz

PRZYJMUJE
KSIĘGARNIA RELIGIJNA
Królewska No 8.

U ŻŁOBKA ZBAWICIELA

Obrazek w dwóch odsłonach
(Bardzo łatwy do odegrania).

NAPISAŁA

Wanda Grochowska.

Do nabycia

w Księgarni „Polaka-Katolika”

ROCZNIKI

„WIECZORÓW RODZINNYCH”

Z ROKU 1912.

Do nabycia w księgarni „Polaka-Katolika”
Krakowskie-Przedmieście 71.

Bez oprawy rb. 4.

W gustownej oprawie rb. 5

NAJPIĘKNIEJSZE I NAJTAŃSZE

ZABAWKI

GRY, OZDOBY CHOINKOWE

Magasin Français (Berga 8)

KSIEGARNIA

Polak-Katolik

Warszawa, Krak. Przed. Nr. 71.

POLECA

Kalendarz na rok 1914

Kalendarz Katolik 15 kop.

„ Marjański 30 kop.

„ Najś. Rodz. 25 kop.

Mały Kalen. Marjański 20 kop.

Podarunek Gwiazdkowy i Kołendowy!!

Zabawa „NIEBO” Towarzyska

W celu moralnego i pożytecznego przepędzania

wieczorów świątecznych w kółkach rodzinnych.

Wydanie 5. :: :: :: :: Wydał X. Raf. Kap.

jest do nabycia

w Księgarni „Polaka-Katolika”, Krakowskie-Przedmieście N-r 71.